№ 14.

Dziennik domowy.

Próżno się na polu wadzisz,
Jeśli doma nie uradzisz.
Rej z Nagłowic.

ROK 1844. Poznań, dnia 3. Lipca.

DZIENNIK DOMOWY, poświęcony życiu domowemu, familijnemu i towarzyskiemu, wychodzi co drugi tydzień, w objętości jednego arkusza, do którego przydaną jest rycina mód paryzkich, wraz z opisem. — Przedpłata wynosi na pół roku talarów **3**, *i przyjmuje się po wszystkich królewskich urzędach pocztowych, tudzież księgarniach krajowych i zagranicznych.*

Człowiek jest przedewszystkiém istotą społeczną, dla tego to ma konieczną z natury ducha swojego wyniklą potrzebę żyć społecznie, objawiać się jako społeczna istota. Stosując ten sposób objawiania się człowieka w życiu szczególniéj do pracy, poznano i umiejętnie wywiedziono, że jak z jednéj strony podział pracy, czyli wykonywanie jednego najprostszego szczegółu przez jednego pracownika, tak z drugiéj strony pracowanie w stowarzyszeniu czyli wykonywanie różnych prac kolejno przez wielu ludzi, stanowią warunki produkcyjności. Pierwsza zasada uproszcza pracę, druga tém, że wielu pracuje nad jedną rzeczą, dozwala najzupełniejszego podziału pracy i sprawia, że pracownicy owładnąć mogą przedmiot, a że praca jest ciągle zmienną, więc nie utrudza, lecz pobudza siły pracujących.

Zastosowanie tego systemu pracy do rolnictwa, szczególniéj powiększa produkcyę, więc jest bardzo ważne, a do wprowadzenia w życie bardzo łatwe. Pracujący muszą przedewszystkiém na swoję korzyść swojemi pracować narzędziami. Na ten cel wniesiony przez każdego kapitał musi być równym, a to dla tego, że inaczéjby rozrachowanie, jaka część dochodu na kogo przypada, połączone było z niezmiernemi trudnościami. Zresztą ktoby większy kapitał wnosił, uważałby się za lepszego od innych, chciałby im przewodzić, chciałby mniéj pracować, chciałby ulżeń i względów, tak że stowarzyszenie rozsprzęgłoby się wkrótce. Jeśliby nie własnemi pieniędzmi, lecz pożyczką musieli nasi pracownicy czynić początek, ciężar pożyczki na wszystkich porówno byłby rozdzielonym i na każdym w równéj ilości ciążył. Rozumie się, że niemożnaby wcale przypuszczać, aby jedni z własnym, drudzy z pożyczonym przystępowali kapitałem — albo wszyscy musieliby mieć własny, albo wszyscy pożyczony kapitał, z którymby do stowarzyszenia w równéj ilości przystąpili.

Ponieważ równa praca różnéj wartości produkuje przedmioty, więc czas pracy jest właściwą normą nagrody za nią. W stowarzyszeniu rolniczém czas pracy oznaczony stale, dla wszystkich równy, uproszcza w najwyższym stopniu sprawiedliwy rozdział owocu pracy pomiędzy pracujących. Na tych zasadach, gdyby się np. dziesięciu zwykłych czynszowych gospodarzy połączyło w stowarzyszenie, i gdyby do korzyści z pracy przypuścili rodziny swoje, składające się z jednego syna ze żoną i jednéj córki z mężem, natenczas uważając, że żona gospodarza musiałaby cały dzień być zajętą bądź staraniem około dzieci, całéj rodziny, bądź około jadła, mielibyśmy osób w przecięciu pięćdziesiąt uprawiających jednę, bo z obok siebie położonych ról gospodarskich złożoną rolę, równą dziesięciu rolom gospodarskim. Taki przestwór uprawiany ciągłą pracą, byłby uprawionym w każdym szczególe lepiéj, aniżeli być może uprawioną pojedyńczego gospodarza rola, taki przestwór będąc większym, dozwoliłby wprowadzić w uprawę system wyrozumowany, umiejętny. Wszyscy pracownicy niebędąc gospodarzami i sługami lecz rzeczywiście, należąc do spółki rólniczéj, będą pracowali dla siebie, więc z chęcią, zamiłowaniem, bo dla własnéj korzyści. Te powody zwiększając produkcyę niezmiernie nad wszelki stan jéj dzisiejszy, rozlewając na wszystkich chcących pracować nieprzeliczone korzyści i ulżenia

nawet w pracy, przemawiają za systemem stowarzyszania się, mianowicie jak u nas w dziedzinie rolnictwa, stowarzyszenia się na zasadach wskazanych. — Obywatel, który miłuje lud, powinienby bliższe szczegóły takiego stowarzyszenia opracować, o przyzwolenie rządu (nader łatwe do uzyskania ze względu na oczywiste korzyści takiego stowarzyszenia dla wieśniaków, a nawet dla panów), wystarać się i pomyślić o wykonaniu pomysłu, który gdzie indziéj wprowadzony w życie, ukazał się praktycznym, a jest umiejętnie ugruntowanym.

Skarbiec nieszczęścia.

Przez Luciana Siemieńskiego.

(Dokończenie.)

— Medalion, który oto widzicie, mówił Zdzisław, otwierając go — ma z jednéj strony wyobrażenie Najświętszéj Panny, z drugiéj lok siwych włosów. Był on dany, jako talizman przez umierającą matkę, córce, którą w wielkiém uniesieniu gniewu była przeklęła. Jak mi mówiono, niegdyś, między matką a córką już zamężną, z powodu majątkowych działów miało wybuchnąć nieporozumienie, które tak daleko doszło, że pierwsza, nadzwyczaj gwałtowna i despotyczna białogłowa, rzuciła przekleństwo na córkę, aby to, co w swojém łonie nosi, stało się jéj zguby przyczyną. Właśnie przekleństwem obłożona córka była przy nadziei, i w krótkim czasie powiła syna. Późniéj matka dała się przeprosić, a z powróconą miłością dla dziecka, uczuła całą okropność słowa wyrzeczonego w nieszczęsnéj chwili, i niczego nie szczędziła, ani ofiar, ani modłów, aby wyrok ciążący nad krwią jéj własną i zapisany u Boga, odwrócić. Umierając, gdy córce z błogosławieństwem zawieszała na szyi ten medalion, wyrzekła słowa wiary i głębokiéj pewności w cudowny skutek tego talizmanu: „Dopóki go córko moja nosić będziesz na szyi, dopóty ani włos z głowy ci nie spadnie.“ — W kilkanaście lat potém, syn, który miał spełnić wyrok przekleństwa, dorosł w pięknego młodzieńca, i ze szkół powrócił w dom matki dla zajęcia się gospodarstwem. Najczulsza miłość łączyła te dwie istoty; w okolicy stawiano go za przykład przywiązanego i uległego syna, a ją za wzór matek poświęcających wszystko szczęściu ukochanego dziecka. Dla tego też wierzyła święcie, że Bóg dał się przebłagać, że jest niepodobieństwem, aby z téj strony mogło ją dotknąć co złego. Lecz pewnego poranku, wstając z łóżka, postrzegła, iż skówka na medalionie rozlutowała się i że go niemogła nosić na szyi. Ten wypadek przeraził ją mimowolnie, więc téż bez zwłoki kazała przywołać swego komisarza i dała mu polecenie, aby natychmiast jechał do miasta o kilka mil odległego i dał złotnikowi zepsuty medalion naprawić. W ciągu dnia, jako była z natury wesołego humoru, zapomniała o tym niemiłym wypadku, najbardziéj zaś przy obiedzie, gdy ktoś z sąsiadów opowiadał różne przesadzone awantury o grasującéj w okolicy bandzie rozbójników, przyczém nażartowała się z syna, który wielką okazywał obawę i radził przedsiębrać środki ostrożności. Z nadchodzącym wieczorem, syn, czując się cokolwiek niezdrowym, oddalił się do oficyn, gdzie mieszkał, i spać się położył. Matka tymczasem z panną służącą układały spisek na niego; jakoż przebrały się w męzkie płaszcze i kapelusze i tak poszły go straszyć, udając rozbojników. Syn zbudzony odrywaniem okienic, wysłał służącego, aby się dowiedział o przyczynie; lecz gdy ten poznawszy swą panią nie wracał, tamtemu zdawało się, że go rozbójnicy zamordowali, czém przerażony i na pół senny, porwał za strzelbę i krzyknął: „Kto tam? bo strzelę!“ Nie odebrawszy żadnéj odpowiedzi, gdy widział, że dobijanie się do okien nie ustawało, dał ognia — poczém usłyszał tylko padające ciało i jęk rozdzierający: „Synu! zabiłeś matkę!“ — Przekleństwo się spełniło w chwili, gdy komisarz powracał z tym oto medalionem. Jeszcze znaczne to miejsce, gdzie go złotnik zlutował.

Opowiadanie Zdzisława wskroś nas przejęło; każdy się zamyślił nad dziwnemi drogami Opatrzności, i w duchu robił ztąd wnioski o przeznaczeniu i o sile słowa wyrzeczonego w pewnych momentach, gdy gospodarz nie dając nam czasu do smętnych uwag, prędko dobył pudełko z perłowéj macicy, otworzył i ujrzeliśmy kilkanaście kart to francuzkich, to polskich, pozaginanych na końcach i pobrudzonych. — Każda z tych kart, mówił, dała powód do jakiéj katastrofy traicznéj. Na tę piątkę żołędną hrabia B., pełen nadziei młodzian, przepuścił całą ojcowiznę i w łeb sobie strzelił. Julian Z., nasz znajomy, tym królem dzwonkowym uderzył przy faraonie pewnego oszusta w nos, poczém się strzelali i Julian zginął. Edmund W. miał się żenić, ojciec mu dał znaczną summę na zrobienie wyprawy; pojechał do miasta, opadli go kartownicy i do gry wciągnęli; acz niedoświadczony poznał, że go oszukiwano; on téż czując się w prawie odwetu, pozwolił sobie tego asa ściągać ze stolika, lecz bankier z jastrzębim wzrokiem dostrzegł to poruszenie, porwał za szczypce od świecy i dłoń mu przebił na wylot. Rana zaniedbana zaognila się, przyszła gangrena, i najlepszy chłopiec mizernie musiał

umierać. Długo byłoby opowiadać dzieje każdego parolu, każdéj sislewy, ile łez, ile niedoli kosztowały zrujnowanym żonom i dzieciom. Kto z was widział na scenie „Trzydzieści lat życia Szulera“, ten wierny obraz mieć będzie wszystkich nieszczęść, jakie ta namiętność ciągnie za sobą.

— A taż talia kart z jaką się wiąże pamiątką? zagadłem.

— Niestety! z bardzo smutną: jeden z naszych niezłych jenerałów miał zwyczaj bawić się nią w chwilach, kiedy potrzeba było atakować nieprzyjaciela, lub czuwać nad bezpieczeństwem obozu. Ta oto kupka kart, co ją widzicie sznurkiem związaną, przyprowadziła do tego wielu poczciwych ludzi, że widząc się bez sposobu do życia, a nie mając odwagi odebrać go sobie, przedali swoje sumienie na kwitki; jednych już dotknęła sprawiedliwość ludzka, innych, boska dosięże.

Wtém, uwagę Ludwika zwrócił na siebie piękny pistolet Kuchenreitera.

— Powiedz mi panie Zdzisławie, zapytał, czy go tu chowasz dla jego wartości, czy też dla pamiątki; dziwi mię tylko, czemu nie widzę drugiego?

— Wiadomo wam, odparł zapytany, że tu nic nie jest bez znaczenia; że zaś nie mam drugiego, to ztąd pochodzi, że tylko ten jeden rozstrzygnął los bardzo dzielnego człowieka. Przygoda okropna! Zapewne słyszeliście o młodym Astolfie, znanym powszechnie z wielkiéj odwagi i determinacyi, a oraz z najlepszego serca i najłagodniejszego charakteru, podniesionego do doskonałości przez wyborne wychowanie. Owoż ten klejnot społeczeństwa, dziwném zrządzeniem losu, zakochał się na ślepo w pewnéj panience, która mimo swojéj urody i powierzchownych przymiotów, niewarta nawet była jego małego palca. Kokietka i lekkomyślna, nie wahała się obok szczerych jego hołdów, przyjmować zaloty pewnego hrabicza, a to nie dla tego, iżby w ich prawdziwość wierzyła, lecz że to pochlebiało jéj próżności. Po gorzkich wymówkach ze strony Astolfa i uniewinnieniach się panny, hrabicz nie przestał bywać na stopie zalotnéj. Pierwszemu nie pozostało jak żądać satysfakcyi, na którą ostatni rad nierad musiał zezwolić, będąc związany argumentami honoru i groźbą publicznéj obelgi. Ułożono zatém pojedynek na pistolety. W dniu oznaczonym przeciwnicy z sekundantami zjechali się na miejsce bitwy; zmierzono plac i miano się strzelać do baryery. Hrabia lękający się o swoje szanowne zdrowie, był blady jak trup i drzący jak liść; lecz sekundant jego, człowiek odważny i znający się na prawach honoru, zagroził mu, że go odstąpi, jeżeli się mężniejszym nie okaże. Bądź namowami, bądź groźbami tyle sprawił, że jako tako wystąpił do bitwy. Astolf szedł śmiałym krokiem ku baryerze, a wziąwszy dobrze na cel przeciwnika, pierwszy strzelił i w rękę go trafił. Hrabicz zachwiał się i upadł, wołając płaczliwym głosem: że już po nim! — Strzelaj! krzyknął piorunującym rozkazem jego sekundant. Astolf był wtenczas doszedł do saméj mety i stał jak posąg nieruchomy. Niewiem czy machinalnie, czy téż z resztką przytomności hrabicz ruszył sprężyną, i strzał wypadł, który w samo serce ugodził Astolfa. Tak więc marnie skończył najpiękniejszych nadziei młodzian, z tego właśnie pistoletu; zwycięzca żyje i może jeszcze uchodzi w świecie za bohatéra pojedynkowego.

— A z panną co się stało? zapytałem.

— Ach, zapomniałem wam powiedzieć. Gdy ją doszła wieść, że jéj wielbiciele się biją, chcąc wspaniałomyślnie zapobiedz krwi rozlaniu, napisała do obudwóch taki bilecik: czytajcie go:

„W całéj téj sprawie tylko do mnie możecie „mieć panowie pretensyą, albowiem dla żadnego „z was nie miałam skłonności. Jeżeli gwałtem „chcecie bić się o moję niestałość, oświadczam, „że to na jednéj rozprawie się nieskończy; dla „tego, abyście wiedzieli, z kim mieć do czynie„nia, załączam niniejszą listę moich adoratorów.“

Tu następowało kilkanaście różnych nazwisk.

— Panna, mówił daléj Zdzisław, dobrowolnie rzucała na siebie potwarz, sądząc, że ich to pogodzi; lecz zaciętości zaszły już za daleko, i niebyło sposobu do odwrotu.

Zdzisław niedając nam czasu do robienia uwag, skwapliwie wyjął w czarny marokin oprawną tekę, a przewracając kartę po karcie, objaśniał różne listy, wiersze, rysunki, nuty muzyczne.

— Ten wierszyk, w którym się przebija ognista namiętność, lubo bez wielkiéj sztuki rymotwórczéj napisany, złożył pewien młody chłopiec wysokich zdolności do matematyki, i poniósł do stóp swego anioła, któremu ten hołd pochlebiając, zyskał najsolenniejszy oklask nawet po salonach. To aczkolwiek względne powodzenie zwichnęło zawód młodziana; zarzucił bowiem ściśle umiejętności, z których mógł był mieć kawałek chleba, a wziął się do wierszowania, i dziś nietylko że sam głodny, ale i publiczność martwi nielitościwemi płodami. — Ta paszkwilowa karykatura przyprawiła bardzo zacnego, lecz trochę śmiesznego człowieka o stratę rozumu. — Ten list bezimienny miał na celu zmistyfikowanie dwojga kochających się małżonków, a sprawił, że poszli do rozwodu. — O tym polonezie, na którym znać kilka kropel krwi, powia-

dają, że kompozytor napisawszy go w żalu po stracie ojczyzny, w łeb sobie strzelił. Zgoła każdy świstek ma swoję historyą, a gdybym wszystko chciał opowiadać, i wasbym znudził i za dwa dni nieskończył.

— Ta maska murzyna, rzekłem biorąc ją do ręki, musi mieć związek z wypadkiem interesującym?

— Dosyć — odparł Zdzisław. Poczciwy pan K. winien jéj odkrycie, które mu resztę dni zatruło. Wesoły ten człowiek lubił niespodzianki. Zdarzyło się, iż żona jego wieczór miała przepędzać na balu maskowym. Pan K. udaje, iż zamierza zostać w domu, a tymczasem po jéj wyjeździe ubiera się w przygotowany strój murzyna, i pospiesza na bal. Przechodząc w tłumie zostaje zatrzymany za rękę przez różowe domino, które go odprowadza w stronę odległą sali; i w krótkiéj rozmowie otwiera mu oczy na długoletnią hańbę domu, jaką znosił w dobrodusznéj swéj niewiadomości. Była to własna jego żona, która dała rendez-vous pewnemu murzynowi, lecz na nieszczęście okazał się duplikat. Możecie sobie wyobrazić, co się zrobiło z wesołego, żartobliwego człowieka; stetryczał — uciekał od ludzi i własnych dzieci; w parę miesięcy posiwiał i tak zdziecinniał, że nikt, co go znał dawniéj, przypuścić nie chce, aby w tak krótkim czasie można się tyle odmienić. Po tym przypadku na reducie, odwiedzałem pana K.: jeszcze był przy lepszém zdrowiu; gdy się coś zgadało o mojéj passyi zbierania pamiątek, wziął mię na bok i rzekł: muszę ci prezent zrobić z téj maski; znałem kogoś, co przez dwadzieścia lat niewidział nic, co się w około niego działo; lecz gdy się w nią ustroił, cała rzeczywistość stanęła mu widomie. Potém rozśmiał się z bolesną ironią i uciekł do swego pokoju. Z głosu publicznego wyjaśniłem sobie resztę téj tajemniczéj historyi.

— Przestańmy nudzić kochanego Zdzisława — zawołałem — bo już i tak naopowiadał się wiele, a przytém też i niewiele co widzieć możem, bo już słońce zachodzi.

— Znudzić mię to nieznudzi, odparł Zdzisław — owszem mam w tém wielką roskosz kiedy znajdę kogoś z kim mogę wejść do mego skarbcu i otwarcie pogadać; ale tyleśmy już ważnych pamiątek dotknęli, że inne co pozostają, należą do więcéj prozaicznych nieszczęść. Te np. za szkłem oprawne bilety loteryjne bogacąc nagle ludzi ubogich, zadały im śmierć; dwóch, co po sto tysięcy wygrało, tknęła apoplexyja na miejscu; ten wygrał pewnemu wyrobnikowi pięćdziesiąt tysięcy; widząc się proste człowieczysko panem takich pieniędzy odmienia pracowity i skromny tryb życia, przesiaduje w kawiarniach i restauracyach, w końcu niszczy zdrowie, wypróżnia sobie kieszeń i kończy jak ostatni łazarz w szpitalu!

— O to żywa prawda! rzekliśmy z westchnieniem, a Ludwik dodał: częstokroć nierozumiemy dróg pańskich, szemrzemy przeciw złemu, które nas dotyka, a przecież bywa ono zbawienniejsze niż dobro urojone, jakiego każdy dla siebie pragnie. Tylko jedno cierpienie kształci prawdziwie tak człowieka, jak naród; a niespodziana pomyślność często z niego robi to, co twoje bilety loteryjne z owego wyrobnika.

Zdzisław zamykał szuflady i już zabieraliśmy się do wyjścia, kiedy młodszy mój brat, któryby rad był słuchać tych powieści do północy, zatrzymał nas swoim wykrzykiem:...

— Za pozwoleniem, niewidzieliśmy jeszcze tego kindżału — co za prześliczna broń! — zapewne i historya jego musi być w guście bajronowskim, jak Giaur, jak Lara?

— W tym natłoku pominąłem ją — odparł Zdzisław, biorąc kindżał do ręki. — W rzeczy saméj przypomina mi ona smutny koniec jednego z moich przyjaciół. Było to krótko przed kampanią turecką. Henryk S. jak wiele z młodzieży ukraińskiéj, wszedł był do służby rossyjskiéj, a z piękną postawą ciała, i naukowém wykształceniem, awansował bardzo prędko. Nieszczęście chciało, że się dostał na adjutanta do jenerała T., który był już w podeszłym wieku, a miał żonę młodą i piękna, lecz kokietkę tak lekkomyślną i płochą, że równéj ze świecą by nieznalazł.

— Słyszałem o niéj — przerwał Ludwik — ale cóż lepszego można się było po niéj spodziewać?

— Jakto? zapytałem.

— Jenerał T. — wziął ją przecież z Warszawskiego baletu.

— Owoż — mówił daléj Zdzisław — kobieta ta miała dar szczególniejszy czarowania; Henryk ledwie ją ujrzał, mimo wszystkich moralnych zasad, jakiemi był napojony od dzieciństwa, pokochał się w niéj na zabój i doznał nieograniczonéj wzajemności. Wkrótce jednakże stosunki adjutanta z jenerałową przestały być tajemnicą dla publiczności. Ja sam — pamiętam — postrzegłem raz u niego na ręku bransoletkę z włosów z imieniem Zofii (to było imie jenerałowéj) i ostrzegałem go, że się wdał w niebespieczną intrygę.

— Wiem dobrze, że głupstwo robię — odpowiedział mi — ale ona tego żąda i muszę uległać!

— Jakto? jenerałowa chce abyś ją skompromitował?

— Niestety!

I prawda, płochéj komedyjantce mało było na skrytéj miłości, ostrożność jéj ciężyła; tajemniczość

przeszkadzała szałom. Występek zdawał jéj się drobnostką, a igrać z niebespieczeństwami prawdziwym powabem. Wiedziała, że jenerał był zazdrosny i gwałtowny, i postanowiła walczyć z nim wiarołomstwem. Może téż sądziła, że tą gorszącą odwagą błędy swoje okupi. Pewnego dnia umyślnie zostawiła na stoliku list, który do niéj napisał Henryk, list bardzo wyraźnie mówiący o ich stosunkach. Jenerał miał go w swych rękach i udarł kawałek do zapalenia cygara, lecz go nieczytał. Henryk zaś obecny temu, bladł i czerwienił się; Zofija była na pozór spokojną i uśmiechliwą.

Dziwne usposobienie téj kobiety goniło widocznie za gwałtownością scen i wzruszeń, nieraz bowiem mówiła do Henryka z dziwnym wyrazem:

— Czy wiesz Henryku, że on nas gotów oboje zamordować. Henryk téż w zaślepieniu swojem, miał tę fałszywą miłość własną, iż niechciał niższym pokazać się od niéj w téj odwadze szalonéj i występnéj. Przez dwa lata nierozsądna płochość dwojga tych osób niemiała żadnych złych skutków; cudem prawie unikali okropnych niebespieczeństw. Henryk nakoniec znudzony tym stosunkiem tak trudnym i nieznośnym, chcąc się raz uwolnić, przy wybuchającéj wojnie z Portą podał się do służby czynnéj i otrzymał pozwolenie. Trudno wyobrazić sobie rospacz i gniew Zofii. Groziła mu, że się zabije, lub że go nieodstąpi, on zaś jéj przekładał niepodobieństwo i nierozsądek tych kroków; Zofija zdała się być uspokojoną i dała mu rendez-vous nazajutrz, w wiliję jego odjazdu do armii. Wróciwszy do siebie, tak mało ukrywała gwałtowność swéj namiętności i rospaczy, że jenerał, choćby był najłatwowierniejszym i najślepszym z małżonków, musiał się domyślić prawdy. Nazajutrz gdy się udawała na miejsce schadzki, jenerał wyszedł za nią z parą pistoletów w kieszeni.

Zaledwie też w wzajemném uściśnieniu wyrzekli pierwsze słowa pożegnania, kiedy jenerał wszedł krokiem gwałtownym i z zaiskrzoném wejrzeniem.

— Zabij nas! ale zabij razem — zawołała Zofija.

— Ciebie zabić? nigdy — odrzekł z pogardą — lecz on, padnie natychmiast.

I już przykładał pistolet do piersi nieszczęśliwego Henryka, kiedy ten wstrzymał go i rzekł:

— Słówko jedno panie jenerale.

— Czy prosisz o przebaczenie?

— Nie. Obraziłem cię panie — powinnością moją jest umrzeć, lecz nie w ten sposób. Uważanoby cię za zabójcę i dobre twe imie ucierpiałoby na tém. Pojedynek między nami, również niebyłby słusznym; świat dowiedziałby się o przyczynie. Lecz inny mam sposób. Jak wiadomo jenerałowi dostałem pozwolenie do czynnéj armii, daję więc słowo honoru, że dam się zabić w pierwszéj potyczce z Turkami.

Jenerał pomyślał chwilę i rzekł:

— Zgadzam się.

Wkrótce odebrano wiadomość, że Henryk za przybyciem do korpusu, podjął się był pod Braiłowem zrobić jakiś śmiały rekonesans. Opadnięty przez Turków, pierwszy rzucił się na nich; po świetnych dowodach męztwa, uledz musiał pod przeważającą liczbą; cięciem w czoło spadł z konia, a nim z obozu wysłana pomoc nadbiegła, Turek tym oto kindżałem odciął mu głowę, ale jéj nieuwiózł, gdyż ją odbito, razem z kindżałem, który po różnych staraniach dostałem od jenerałowéj....

— Fatalizm! zawsze fatalizm! powtórzyliśmy chórem wychodząc z narożnika, w którym nasłyszeliśmy się tyle różnych powiastek, jakby czytał kto przed nami jaki interesujący romans.

O Stowarzyszeniach.

Artykuł IV.

Z tegorocznego zdania sprawy Dyrekcyi Towarzystwa Naukowéj pomocy, pokazuje się, iż w ciągu trzech lat istnienia Towarzystwa rozdysponowano summą 26,587 talarów, i że tym kapitałem ukształciło się w ciągu tego trójlecia 496 młodzieży, z których dziś jeszcze 267 jest na funduszu. Z tych na uniwersytetach utrzymywano 44, po Gimnazyach 118, po Seminaryach nauczycielskich 65, po szkołach przygotowawczych 41, w fabrykach i rzemiosłach 24.

Zgadzamy się zupełnie ze sprawodawcą, gdy powiada: „że tyle młodzieży, gdy kiedyś przejdzie w życie społeczne, choćby się z niéj tylko połowa udała, na tyluż punktach zatli oświatę krajową, i przyświecając nią drugim, wynagrodzi sowicie i nakłady publiczne i starania Towarzystwa.“

Są to zapewne świetne wypadki, dowodzące, że i Towarzystwo i dyrigenci tego towarzystwa, trafili w sam nerw narodowy, który elektryzując oświatą przywrócić mogę przytępione w nim życie. Z téj strony należy się i jednym i drugim prawdziwa wdzięczność publiczności. Dla tego, co tu napiszemy niechaj nie uważają jako naganę ich działania, ale jako pomysły do ulepszenia dzieła, które jak każde dzieło w początkach, nie może być doskonałe. Ani w statutach, ani w sprawozdaniach nie widzimy zasad położonych dla przyszłości tak zbawiennego Towarzystwa. Zobowiązanie się członków jest tylko na pięć

lat, i zdaje się, że zostawione jedynie przypadkowi, czyli po pięciu leciech istnieć nadal będzie Towarzystwo czyli nie. Następnie zobowiązanie to pięcioletnie tyczyć tylko mogło członków w pierwszym roku przystępujących, w następujących latach już to zobowiązanie niema miejsca, i zapewne Dyrekcya musiała co do tego punktu być nader względną i uległą, bo przyjmując i jednorazowe datki, nie mogła ani nie miała prawa wymagać zobowiązania się do składek na pewną liczbę lat. Termin ten zatém, nic nieznaczy z istoty swojéj, a przynosi to złe za sobą, iż nie jeden po pięciu latach będzie uważał obowiązki swoje względem wychowania publicznego za dopełnione, a w znacznéj liczbie takich osób, towarzystwo rzeczywiście z braku funduszów ustaćby po tym czasie musiało.

Statut przepisywać zatém powinien zobowiązanie się na czas nieoznaczony do opłaty rok rocznéj, z wolnością wystąpienia z Towarzystwa, pod warunkiem jednak, aby to wystąpienie półrokiem wprzody do Komitetu lub do Dyrekcyi piśmiennie podaném było, inaczéj przyjętém być musi, że składkujący i na rok następny do składki zobowięzuje się.

Z funduszów na ten sposób rocznie zebranych należałoby jednę dziesiątą część przeznaczyć na kapitał stały i procenta tego kapitału póty dołączać do samego kapitału, ażeby urosł na 20,000 talarów. Tym środkiem zyskałoby się może już w przeciągu sześciu lub ośmiu lat, 1000 tal. stałego dochodu, któryby rok rocznie wzrastał przez coraz nowe pomnażanie kapitału.

Nietylkoby tym sposobem Towarzystwo zapewniło sobie stałe fundusze, któreby z czasem całkiem od składek niezawisłe były, ale takie kapitalizowanie funduszów zwróciłoby oraz uwagę pojedyńczych osób, dobrem sprawy narodowego wychowania przejętych, iżby dobrowolnémi zapisami powiększali fundusz żelazny Towarzystwa.

Dyrekcyi interesem byłoby nietylko ku temu stósowne poczynić kroki, przez publikacye sprawozdań szczegółowych, przez publiczne składanie podziękowania takim dobrodziejom, i przez odezwy bezpośrednio zachęcające do tego rodzaju legatów, którémi niegdyś u nas tyle stało i utrzymywało się klasztorów, mniéj więcéj równie oświatę ludu mających na celu.

Sądzę w ogóle, że Dyrekcya i Komitety niedosyć starają się, o jak największe upowszechnienie wiadomości istnienia Towarzystwa naukowego, jego celów i jego skutków już osiągniętych, a przecież to jest jedyny środek obudzenia w opinii kraju interesu dla sprawy tak świętéj, jedyny środek pozyskania członków. Sprawozdania powinny być wytłoczone nietylko w ilości członków składkujących, tak, aby się każdemu jedno dostało za pośrednictwem Komitetów, ale drugie tyle powinno być rozrzuconych między wszystkich księży z prośbą ogłaszania ich choćby tylko w treści przy kazaniach; i rozdzielania exemplarzy między parafian, z zachęceniem wspierania instytucyi mającéj na celu szerzenie światła w narodzie.

To samo sprawozdanie Dyrekcyi z roku bieżącego niepokazuje, aby był uczyniony jakiś rozkład funduszów na kategorye przemysłu niższego i wyższego, na nauki niższe i wyższe, na sztuki piękne i t. p. Pokazuje się, że w ciągu tych trzech lat wydano na młodzież uniwersytecką 5844 tal., na gimnazya wydano 8667 tal., na seminarya 2815 tal., na szkoły elementarne 2182 tal, na sztuki piękne 746 tal., na wyższy przemysł 2687 tal., na rzemiosła 786 tal.

Są to liczby, jak się zdaje od przypadku rzucone, i nie przebija się w nich organiczna myśl szafunku funduszami. Dyrekcya powinna rzeczywiście rozdzielić na rodzaje przyszłe zawody młodzieży, i uważając, które zawody naszemu położeniu i w naszych okolicznościach są najpotrzebniejsze, wedle tego uczynić etat funduszów, i granic tego etatu nie przechodzić.

W praktyce dwie tu nastręczają się trudności: pierwsza, że fundusze Towarzystwa nieregularnie wpływają, druga że młodzież zgłaszająca się przychodzi z obranym już zawodem, a nie do zawodu. Zapewne, że pierwsza okoliczność nieprzełamane stawia trudności do zaprowadzenia etatu w rozdawnictwie funduszów. Na to wszakże nie ma innego sposobu, jak następujący:

Dyrekcya donosi, że ma zasobu w kassie 6,328 tal. Czekają ją wypłaty prawda od 1. Lipca do ostatniego Grudnia, ale za to téż wpływać będą składki, któremi je opędzić będzie można. Tym więc kapitałem 6,328 tal., albo wyższym, gdy nad wydatki więcej wpłynie do końca roku, Dyrekcya jedynie dysponować powinna w ciągu roku od 1. Stycznia do 1. Stycznia; co zaś w tym roku ze składek wpłynie, będzie funduszem na rok następny i t. d., tak że zawsze Dyrekcya szafuje tylko tém, co już ma w kassie i co podzielić sobie może wedle upodobania. Dogodność takiego szafunku funduszami, jest jeszcze i ta, że wpływające fundusze przez cały rok się procentują i rosną w kapitał.

Prawda, że z listy wydatków na rok $18^{41}/_{42}$ pokazuje się, iż Dyrekcya na ten rok rozdysponowała 14,120 tal., i że na rok przyszły, gdy ta sama mło-

dzież pozostaje na funduszu, z wyjątkiem może 3000 tal., który z ubytku stipendyatów powstanie. Wszelako prędzéj nie będzie porządku i ładu, dopóki Dyrekcya funduszu nie postawi na stopie zasobów każdego zeszłego roku. Do tego czasu fundusze się rok rocznie zmnażały, i dla tego Dyrekcya niebyła jeszcze w przypadku odmówienia dalszego wsparcia stipendyatom z braku funduszów. Czas ten jednak przyjdzie niezawodnie i przyjdzie dość wcześnie, gdy Dyrekcya wciąż assygnować będzie wsparcia, oględując się jedynie na summę podpisanych składek, a nie na kapitał rzeczywisty.

Gdy Dyrekcya będzie wiedziała i posiadała summę każdoroczną, którą na pewno będzie mogła rozporządzać, będzie oraz mogła uczynić najstósowniejszy podział téj summy. Rozpatrując się w stosunkach naszéj prowincyi, pozna, gdzie i w czém jéj najwięcéj zbywa, i w tę stronę rzuci usiłowania swoję. Na taki sposób nada Dyrekcya istotnie kierunek oświecie, a nie da się stosunkami ślepego trafu kierować. Dyrekcya nie powinna się uważać za instytucyą jałmużniczą, dla wspierania młodzieży byle ubogiéj, ale powinna być sterem kierującym młodzież funduszami Towarzystwa ku celom społecznym krajowym.

Podział zawodów byłby może następujący:

1) oświata naukowa,
2) przemysł,
3) sztuki piękne.

W przeważnym niedostatku pierwszego i drugiego, trzecie na pierwsze przynajmniéj lata, na żadne nie powinno zasługiwać względy, i wydatek 740 tal., umieszczony na ten cel w rozchodzie, nie wypłynął z dostatecznéj rozwagi potrzeb naszych krajowych. Ponieważ daléj oświata podstawą jest każdego przemysłu, stosunek funduszów na oba te cele przeznaczonych powinien być jak 2:1, to jest z summy np. 12,000 tal. 8000 iść powinno na oświatę naukową, 4000 na przemysł.

Oświata naukowa rozkłada się znowu na szkoły elementarne i przygotowawcze, na wyższe instytuta, i na uniwesyteta, a dzieląc wyższe instytuta na szkoły realne i gimnazyalne, mielibyśmy na każdą gałęź po 2000 tal. Zważając wszelako, że młodzież z gimnazyów tak realnych, jak naukowych ma na celu prze chodzić albo do uniwersytetów, albo do wyższych instytutów przemysłowych, gdzie utrzymanie jest drogie i kosztowne, wypada, że liczba uczniów utrzymanych w téj właśnie sferze nauk musi być jak najmniejsza, aby było podobna utrzymywać tych samych potém na uniwersytetach i instytutach. Podobno najmniéj dyrekcya w téj mierze była oględna gdy 118 uczniów po gymnazyach było utrzymywanych, ich utrzymanie na uniwersytecie jednoroczne zagarnęłoby cały fundusz trzyletni towarzystwa 33,000 tal.

Zmniejszyć zatem należy na 1000 tal. fundusz gimnazyalny, i na tyleż fundusz dla szkół realnych, ze zbywających zaś 2000 tal., połowę dołączyć na edukacyą elementarną, połowę na uniwersyteta. — Z 3000 tal. dla szkół elementarnych na seminarya nauczycielskie, dla kształcenia nauczycieli wiejskich przeznaczyć 1000, drugi tysiąc na młodzież, po szkołach elementarnych i przygotowawczych, trzeci tysiąc na gratyfikacye dla nauczycieli, i podniesienie literatury książek elementarnych.

Z 3000 tal. na uniwersyteta przeznaczonych, ze czterech fakultetów $^2/_3$ tego funduszu iść powinno na kształcenie duchownych i nauczycieli wyższych, o ile rząd sam tu już w pomoc nie przychodzi, $^1/_3$ tylko na prawo i administracyą, medycynę i t. p. Dyrekcya wczas potrzebom miejscowym zaradzać powinna, np. ma się utworzyć szkoła realna w Poznaniu, a ani jednego nie ma stipendyata, któryby się poświęcał chemii i technologii, kiedy liczba filologów jest już prawie za wielka. Tak jak w tym pojedyńczym przypadku, tak we wszystkich innych Dyrekcya przewidywać powinna potrzeby prowincyi, i funduszów Towarzystwa użyć do zaradzenia tym potrzebòm. Tym sposobem tylko będzie nietylko Dyrekcyą funduszów, ale i Dyrekcyą oświaty. *(Dalszy ciąg nastąpi.)*

Korrespondencya.

O Teatrze we Lwowie.

Wróżba nasza o losie teatru polskiego ziściła się po większéj części. Około Wielkiéjnocy dyrekcya teatru we Lwowie pokuszona chęcią zysku, do którego *per fas et nefas* wszema dąży drogami, wygnała scenę polską, a natomiast pojawiła się zebrana drużyna francuzkich aktorów, którzy nawodwilowawszy się do woli, wybierają się z naszém błogosławieństwem w dalszą drogę. Nie wiele o nich da się powiedzieć; rutyny mają dosyć; obznajomieni z deskami znają doskonale całą powierzchowność sztuki aktora; jedném słowem są to bardzo dobre rzemieślniki, ale nie artyści.... Aż przecie wstąpił duch nowy w rocznicę Zielonych Świąt; lecz nie był to ów duch czysty, duch święty wiary naszéj, ale błędny duch wiary złotego cielca, która jest wiarą naszéj dyrekcyi. Daremnie salonowe towarzystwo urażane tak często nieprzyzwoitością i grubiaństwem języka polskiego, uradowane, że przecież zdybią się ich godne uszy z godnym wodwilowym językiem, zapełniało pierwszo–

piątrowe loże; daremie przyjaciele i przyjaciółki naszéj dyrekcyi przesuwali się z salonu do salonu, a nawet piechotą na ulicę zstępować raczyli, by tu i owdzie rzuconém słówkiem licznych zbierać widzów; daremnie dla przykładu motłochowi znaleźli się panowie dający obiady dla aktorek francuzkich, a panie podwieczorki dla aktorów, z pomiędzy których jednego pełnego rozmaitych i nie małych przymiotów omal nierozdarły między siebie, jak niegdyś wieszcza muzyka niewiasty Trackie: nadaremnie!... większość publiczności obojętnie przyjęła przybyszów, a choć ten i ów zajrzeli raz i drugi do teatru, boż przecie warto posiedzieć jak na niemieckiem kazaniu, byle potém przy zdarzonéj sposobności dla dodania sobie powagi i znaczenia, można było powiedzieć: byłem na francuzkim teatrze, a zatém umiem po francuzku *expedite*; nadaremnie!... Jaśnie wielmożna kassa chudła, a chudła z tęsknoty za lubym groszem, aż nareszcie kusa rada! trzeba polskiego teatru, by nim załatać francuzkie dziury.

Po długich ceregielach, któreby na szerszy opis, a osobliwie inną nazwę zasługiwały, lecz jéj niepowiemy, bo nas Francuzi wydoskonalili w przyzwoitości, pogodził nareszcie aktorów polskich obcinając i obrzynając poły ... nie swoje, ale tych biedaków pracowitych, okolicznościami przykutych do Lwowa, prócz Rudkiewiczów obojga i Benzy, których brak coraz więcéj czuć się daje. Najdłużéj opierał się zgodzie z Nowakowskim, którego głośno i wszędzie domagała się publiczność Lwowska, ale po ulicach tylko i w domowych pogadankach, bo w piśmie peryodycznem raz tylko odezwał się ktoś, i napisał coś, o czém jak o Ryczywole zamilczeć wolę, bo to coś było fałszem, a fałszami niegodzi się zdania publicznego kierować.

Coby niebyło, będziemy mieli scenę polską, i jakkolwiek repertuarz nasz wygląda jak speiscetel dla zgrzybiałego i bezzębnego starca z samych potraw miękkich i niesoczystch złożony, lepiéj tyć, powiada przysłowie, jak nic. A więc cieszmy się z tego nawet, że będziemy widzieli na scenie Góralów karpackich Korzeniowskiego, których nam łaskawie jeden z uwieńczonych przerabiaczów przenicować raczył, z wielką prawdą historyczną; niemal tak jak z Niemėj z Portici zrobili się rozbójnicy z pod Etny; a może... bo to z geniuszem nieżartować! trochę z tąd, trochę z owąd, i od sasa i od lasa, utworzy się z tego pięknego utworu rodzaj kulawego Twardowskiego, w którego polski kontusz jakby w salceson dziwnie zgrabnie wpakowano różnorodne okrawki z rozmaitych fars kasperlowskich. Czekamy....*) (Ф....

*) Koniec listu, jako bez interesu ogól., musiał być opuszczony.

M O D Y.

Paryż, dnia 25. Czerwca 1844.

Suknie o téj porze mogą być na dwie główne klassy podzielone, na suknie przeznaczone do wód i na wieś. Pierwsze rospadają na niższe poddziały, na negliże proste i wygodne, negliże poranne, półstrojne na przechadzki i wielkie stroje do wieczornych zabaw. Dłuższy pobyt na wsi wymaga ubiorów, które odpowiadają miejscowości, smakowi osobistemu i rodzajowi ruchu, który potrzebnym jest do utrzymania zdrowia. Na przechadzki noszą chętnie damy szlafroczki bareżowe z peleryną i stanikiem we fałdy ułożonym, lub suknie amazońskie z gładkim stanikiem, bez lub z basquinami i półkoszulczem batystowém z maleńkim kołnierzem purytańskim. Pod niém nie noszą zwyczajnego gorsetu, lecz tak zwany gorset podróżny, który zupełnie odpowiada celowi, nie będąc sznurowanym i jest przymocowanym zapomocą sprzączki, tak łączy się tu wygoda z prostotą.

Ubiory na wzięcie domowe nie ulegają stałym przepisom i tylko tę dodamy uwagę, iż zalotność ukazuje się w białych tkaninach, haftem, wstążką i koronkami orzuconych. Tu należą chusteczki amazońskie, kanżu z krótkiemi rękawami z cieńkiego muślinu, z paskami haftowanemi lub koronkowemi wstawkami. Inną nowością są w tym rodzaju chusteczki republikańskie, odznaczające się szerokiemi wyłogami i gładko przystającym kołnierzem.

Rękawiczki najmodniejsze są w morę i sznurowane lub na siedm guziczków zapinane.

Na ranne wzięcie noszą długie szale kaszemirowe lub mantyllowe długie szale z czarnego jedwabiu; na wizyty lub przechadzki długie szale bareżowe z bajaderowemi paskami lub cienkie kaszemirowe z algierską frężlą.

Suknie bareżowe zawsze jeszcze są w wielkiéj liczbie upowszechnione, zawsze przecie te zasługują na pierwszeństwo, które mają kolor na kolorze wzory i paski atłasowe. Są ozdobione dużemi dwiema lub trzema falbanami, oszytemi małą frężlą lub turecką burtą lub wązką koronką.

Wielce podobają się rękawy weneckie. Są one jak wiadomo u dołu obszerne i tak wycięte, że z przodu prawie jak krótkie rękawy wyglądają, a z tyłu owieszają się, ukazując białe podrękawy. W téj chwili widzimy wiele rękawów krótkich i ugarnirowanych, lub obcisłych i ohaftowanych.

Objaśnienie ryciny.

1. Kapelusz słomkowy z główką krepową, zdobny kwiatami i wstążkami; szlafroczek bareżowy w szerokie kraty.
2. Ściągany kapelusz krepowy z zasłoną; suknia krepowa w pasy, trzema ozdobiona falbanami, z zupełnie nowym otwartym stanikiem i półotwartemi rękawami.
3. Krótki surdut, czarny krawat; kamizelka w pasy; pantalony w kratkę.

Redaktor: *N. Kamieński.*

Czcionkami *N. Kamieńskiego i Spółki.*